

LUNA VELEVITKA

*Gołyby
nie ty...*

Rebelde ♥

WYDAWNICTWO



Playlist

Bryan Ferry – *Slave To Love*

Whitesnake – *Is This Love*

Michael Bolton – *When a Man Loves a Woman*

Michael Bolton – *A Love So Beautiful*

Night Traveler – *Love Nobody Else*

Sheryl Crow – *Strong Enough*

Lewis Capaldi – *Someone You Loved*



Dla tych, którym zdarzyło się kochać za bardzo...



Rozdział 1

Charlotte

– Ile masz czasu?

Usłyszałam za plecami głos męża, a gdy się odwróciłam, napotkałam jego figlarne spojrzenie, które prześlizgiwało się po moim ciele z góry na dół. Stał oparty o futrynę, z rękami założonymi na piersiach, a na jego ustach błąkał się uśmiech.

– Nie na tyle dużo, by móc wrócić do łóżka – oznajmiłam z rozbawieniem i zajęłam się tuszowaniem rzęs.

– Szkoda... – westchnął teatralnie, jakbym właśnie straciła szansę na coś ekstra. – Chcesz kawy?

– Yhyyy... – wymamrotałam, odsuwając się od lustra.

Gdy Steven wyszedł, dokończyłam makijaż. Udał się jak zwykle perfekcyjnie, a wieńczyła go czerwona pomadka. Uwielbiałam mieć ją na ustach i choć to absurdalne, zawsze dodawała mi pewności siebie.

Schodząc na dół, potknęłam się na ostatnim schodku i gdyby nie świetny refleks, skręciłabym kostkę. To cud, że tak się nie stało. Z powątpiewaniem spojrzałam na swoje czarne szpilki z dziesięciocentymetrowym obcasem, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, by zamienić je na coś wygodniejszego. W moim zawodzie

odpowiedni wizerunek to dodatkowy szczebelek w drabinie do sukcesu.

– Zjesz ze mną? – Steven zerknął przez ramię, gdy weszłam do kuchni. Mieszał coś na patelni.

Sięgnęłam po kawę, którą dla mnie przygotował, i upiłam potężny łyk. Potrzebowałam takiego zastrzyku energii.

– Wiesz, że nie mogę, ale obiecuję, że wkrótce gdzieś wykończymy. Co ty na to?

Jego zadziorny uśmiech i ten charakterystyczny błysk w oku wystarczyły mi za odpowiedź. Mogłam się założyć, że w głowie już formował mu się plan, by przez dwie doby nie opuszczać łóżka.

– No! To ustalone! – Wzięłam jeszcze jeden łyk, a potem odstawiam filiżankę. – Wybacz, skarbie, ale naprawdę muszę lecieć. – Dałam mu szybkiego całusa i chciałam się odsunąć, ale Steven nie byłby sobą, gdyby nie przyciągnął mnie do siebie i nie zanurzył twarzy w zagłębieniu mojej szyi. To miejsce od zawsze było moim przyciskiem „Start”, zapalnikiem, a on doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Pachniesz wspaniale... – wymruczał tuż przy mojej skórze. – Tak dobrze, że jeśli zaraz stąd nie wyjdiesz, zaniosę cię na górę i...

– Stop! – przerwałam mu natychmiast, a potem powstrzymując śmiech, odepchnęłam od siebie stanowczo. – Wieczorem – obiecałam, i dałam mu kolejnego całusa.

Droga do biura minęła mi niezwykle szybko. Mimo piątku i dość wczesnej pory ulice wydawały się wyjątkowo puste. A może to ja przestałam w pewnym momencie zwracać uwagę na to, co kiedyś mnie denerwowało?

Zaparkowałam białego mini coopera tuż obok lśniącego mercedesa mojej przyjaciółki i uśmiechnęłam się pod nosem. Susan cechowała się ogromnym zorganizowaniem i zawsze docierała do pracy przed czasem. I przede mną, oczywiście. Była singielką, mieszkała sama, więc nic nie zaprzętało jej głowy o poranku.

W recepcji dostrzegłam nabzdyczoną Kate, która – jak głosi plotka – sypiała chyba z każdym wolnym mężczyzną w tym biurcu. Podobno żonaci również byli na jej celowniku, ale nie miałam pojęcia, ile w tym było prawdy. W zasadzie nigdy mnie to nie interesowało.

– Cześć, Kate! – Machnęłam do niej, drepcząc w kierunku windy.

– Szef na ciebie czeka! – wrzasnęła bez przywitania, ściągając tym samym uwagę wszystkich osób znajdujących się w pobliżu.

Kate od zawsze była hałaśliwa i nieco zbyt bezpośrednia. Nie chciałam nawet wiedzieć, skąd miała informację, że szef chciałby mnie widzieć, skoro jej zadaniem było siedzenie na recepcji i kierowanie osób z zewnątrz na odpowiednie piętra. A trzeba dodać, że biuro Gousman Apartments znajdowało się na dwudziestym. Szybko odsunęłam od siebie myśl, że mojego szefa mogłoby coś z nią łączyć. To niedorzeczne, ale niestety – co musiałam niechętnie przyznać – nie niemożliwe, bo prócz wielu wad Kate miała jedną ogromną zaletę – była po prostu piękna.

Kiwnęłam do niej głową i w ostatniej chwili wpadłam do windy, której drzwi zaczęły się już zamykać. Z trudem oddychałam, gdy facet z działu IT z niewiadomych przyczyn zrobił krok do tyłu, tym samym przyciskając mnie do Lili, która nie umyła dziś chyba zębów, a jednocześnie przesadziła z perfumami. Modliłam się, by nie zwymiotować, nerwowo zerkając na zmieniające się cyferki na panelu windy. Gdy na wyświetlaczu pojawił się numer dwudziesty, odetchnęłam z ulgą i wyskoczyłam z metalowej puszkii niczym wystrzelona z procy, po czym od razu skierowałam się do biura szefa.

Tuż przed dwuskrzydłowymi drzwiami prowadzącymi do gabinetu Trenta Gousmana stało szerokie biurko, za którym siedziała Layla, jego asystentka. Czasem się zastanawiałam, jakim cudem nie przeszkadzała jej praca na otwartej przestrzeni. Owszem, cały kąt zaadaptowany został na minibiuro, ale mimo

wszystko brakowało tu prywatności, bez której ja nie mogłam się obyć.

Layla jak zwykle przywitała mnie szerokim uśmiechem.

– Czeka na ciebie – powiedziała.

– Mam się bać?

– Ty? – prychnęła. – Nie żartuj. Odkąd pojawiłaś się w firmie, jesteś tu specem od gaszenia pożarów, a coś mi mówi, że właśnie wybuchł kolejny – rzuciła tajemniczo, po czym wróciła wzrokiem do ekranu laptopa.

Zapukałam do gabinetu szefa, a po chwili usłyszałam donośny głos:

– Proszę!

Weszłam do środka, próbując powstrzymać grymas, który pojawiał się na mojej twarzy zawsze, gdy przebywałam w tym pomieszczeniu. Gousman był wspaniałym i sprawiedliwym pracodawcą, ale nie miał za grosz gustu. Wszystko tutaj było złote, czerwone albo beżowe. Podejrzywałam nawet, że ubrania, w których przychodził do biura, wybierała mu żona, by biedak unikał codziennych kompromitacji.

W gabinecie, ku mojemu zaskoczeniu, oprócz Trenta znajdował się także inny mężczyzna. Nie kojarzyłam go, ale nie wyglądał na szczególnie zadowolonego.

– Czy coś się stało? – spytałam.

– Nie, nie. – Trent pośpiesznie wskazał ręką fotel. – Usiądź, Charlotte.

Zajęłam miejsce i rzuciłam mu pytające spojrzenie.

– Mam jednak wrażenie, że... – zaczęłam.

– Da sobie radę? – Nieoczekiwanie do rozmowy wtrącił się nieznajomy, spoglądając na mojego szefa. – Jesteś pewien? – dodał po chwili namysłu.

Trent wstał zza biurka, obszedł je i przysiadł na krawędzi. Złączył przed sobą dłonie, splótł palce. Miałam wrażenie, że każdy jego gest to granie na zwłokę i wcale mi się to nie podobało.

– Charlotte, to Jonathan Marks. Pracuje dla nas, ale zajmuje się klientami w Nowym Jorku. Zazwyczaj załatwiamy wszystko online, ale wynikła pewna nietypowa sprawa i... – Zerknął na Jonathana, najwyraźniej szukając u niego pomocy.

Mężczyzna po chwili odchrząknął, a potem przecesał palcami krótkie czarne włosy. Była w tym geście jakaś nerwowość i niepewność.

– Mamy klienta na apartament w Nowym Jorku. Problem polega na tym, że ktoś z konkurencyjnej firmy zaczął się wtrącać.

– Chce go przejąć? – spytałam zaskoczona, na co pokiwał głową.

– Tylko w tobie nadzieja – dodał Trent.

– We mnie? – pisałam, kompletnie zdezorientowana. – Niby dlaczego?

– Bo jesteś kobietą – rzucił smętnie Marks. – A on ma słabość do kobiet – wyjaśnił.

Ta rozmowa zaczynała mnie denerwować. Jeżeli obaj myśleli, że wykorzystam swoje wdzięki, żeby ugrać coś dla firmy, musieli mieć nierówno pod sufitem. Każdy awans, pochwałę czy premię zdobywałam ciężką pracą i mój szef doskonale o tym wiedział. Cholera! Każdy o tym wiedział!

Wstałam, czując lekkie drżenie nóg, jednocześnie z całych sił panując nad buzującą w moich żyłach złością. Wyglądziłam dłońmi granatową spódnicę, spojrzałam na Jonathana, a następnie na Trenta.

– Myślę, że powinniście poszukać kogoś innego do tego zadania. Na przykład osoby, która nie ma męża – zasugerowałam.

Z boku dobiegło mnie ciche parsknięcie Jonathana, za to mój szef w jednej chwili zrobił się blady. Na jego twarzy pojawiło się autentyczne przerażenie. Zaczął nerwowo kręcić głową i wymachiwać rękami.

– Charlotte! Nie! Chryste! Usiądź proszę, pozwól nam wyjaśnić!
– A co tu wyjaśniać? Zasugerowaliście mi, że...
– Nikt niczego nie zasugerował – oznajmił znudzonym tonem Jonathan. – Źle nas zrozumiałaś.

Chyba już wiedziałam, dlaczego nie potrafił dojść do porozumienia z klientem. Był dupkiem.

– Czyżby?

– Charlotte, ten facet ma siedemdziesiąt lat. Po prostu nie ufa mężczyznom. Twierdzi, że są zbyt pazerni, by dokonać uczciwej transakcji. I dlatego od razu pomyślałam o tobie. Beatrice, która wspierała nasz zespół w Nowym Jorku, odeszła.

Trent mówił tak szybko, że miałam wątpliwości, czy aby na pewno wszystko wyłapałam. Spojrzałam na niego podejrzliwie. Później zerknęłam na Jonathana, ale jego znudzony wyraz twarzy niewiele mówił o tym, co myśli.

– I nic więcej? – spytałam po chwili.

– Przysięgam ci na życie moich córek, że o nic więcej nam nie chodzi. – Gousman przyłożył obie dłonie do miejsca, gdzie było jego serce. – No, jest tylko jedna mała prośba, która może ci się nie spodobać...

– Dobra, może trochę się wygłupiłam z tym pierwszym, ale na pewno jeszcze nie jestem spokojna. Mów.

– Musisz zgrywać singielkę, żadnych wzmianek o mężu, brak obrączki. On bardzo zwraca uwagę na czas, który poświęcają mu agenci, rozumiesz...

– Niech będzie, jakoś to przełknę. Kiedy miałabym wyjechać? – Postanowiłam przejść do rzeczy.

– Mniej więcej za trzy tygodnie. – W głosie Trenta wyczułam ogromną ulgę. Naprawdę musiałam być ich ostatnią deską ratunku, bo zazwyczaj nie zachowywał się, jakby był kłębkim nerwów.

– Na jak długo?

– Kilka dni. Maksymalnie tydzień. – Popatrzył na mnie z nadzieją.

– Dobrze, ale chcę znać wszystkie szczegóły. I informacje o konkurencji. Muszę się odpowiednio przygotować.

– Ha! Moja dziewczyna! – wrzasnął, a chwilę później skulił się w sobie, rumieniąc ze wstydu. – Wybacz, Charlotte, po prostu... liczę na ciebie.

– Uznam to za komplement.

– Mówiłem, że jest świetna! – zwrócił się do Marksa i zajął miejsce za biurkiem. – Zostawisz nas samych, Char? – spytał, wyraźnie rozluźniony. – Mamy jeszcze kilka kwestii do omówienia, zanim Jonathan wyjedzie.

– Jasne. – Uśmiechnęłam się lekko i wyszłam.

Layla siedziała z nosem w dokumentach i chyba nawet nie zauważyła, jak przemknęłam obok niej. Udałam się do siebie, po drodze zamieniając kilka słów z Tomem i May. Ta dwójka więcej czasu spędzała na plotkach niż na pracy, ale to nie moja sprawa. Nie byłam typem donosiciela, wszystkich traktowałam równo i dlatego nawet jako najmłodsza agentka nieruchomości w firmie miałam przychyłność wielu pracowników.

Gdy tylko przekroczyłam próg swojego biura, zsunęłam niewygodne buty i rzuciłam je pod biurko, a płaszcz odwiesiłam na stojący w rogu pomieszczenia dziwaczny mebel z haczykami. Do dziś nie rozumiem, dlaczego Susan postanowiła mi go kupić. Uznała chyba, że świetnie wkomponuje się w moje loftowe biuro.

Zanim zajęłam się pracą, sprawdziłam telefon i wystukałam krótką wiadomość do męża, że gdy wrócę, musimy porozmawiać. Steven zawsze dostawał migreny, gdy tylko szykował mi się jakiś służbowy wyjazd. Wolał, gdy byłam na miejscu i mogłam każdy wieczór spędzać razem z nim. Z jednej strony to było naprawdę uroczne, z drugiej taka zazdrość czasem mnie irytowała. Marudził za każdym razem, gdy tylko zaczynałam się pakować, ale nigdy nie zasugerował, żebym porzuciła marzenia albo karierę. Wspierał mnie i to właśnie kochałam w nim najbardziej.

Podskoczyłam w miejscu, gdy drzwi mojego gabinetu gwałtownie się otworzyły. Susan wparowała do środka jak buldożer, niosąc przed sobą filiżankę parującej i aromatycznej kawy.

– Powinniście w końcu przestać bzykać się całymi nocami, bo inaczej nigdy nie dotrzesz do pracy na czas – stwierdziła rozba-wiona i postawiła przede mną espresso.

– Nie spóźniłam się – zaprotestowałam.

– Byłam znacznie wcześniej niż ty. – Przysiadła na krawę-dzi biurka, poprawiając czerwoną kieckę. – Masz jakieś plany na wieczór? Błagam, powiedz, że nie będziecie dziś płodzić dzie-ciaka! – Popatrzyła na mnie, układając dłonie jak do modlitwy. – Charlotte...

Parsknęłam śmiechem.

– Jesteś wstrętna. Myślałam, że nie marzysz o niczym innym jak o zostaniu ciocią.

Jak zwykle skrzywiła się na wzmiankę, że kiedyś nią zostanie. Tak naprawdę wiedziałam, że będzie w tej roli cudowna.

– Jesteś moją jedyną nadzieją, ale to nie znaczy, że nie chcia-łabym cię czasem wyciągnąć na imprezę. Steven się przecież nie pogniewa.

– Nie jestem twoją jedyną nadzieją, Su... – zauważyłam, się-gając po filiżankę. – Jest jeszcze Karen, Gwen – wyliczałam, obserwując jej zniesmaczoną minę.

Susan była otwartą i przemiłą osobą. Może odrobinę sza-loną, ale nadal wspinała. Nie przepadała za dziećmi, ale mimo to bardzo kibicowała mnie i Stevenowi.

– Uwierz, jesteś tylko ty – westchnęła teatralnie. – To jak? Idziemy na drinka? To znaczy, ja będę piła drinki, a ty znów tylko wodę. – Przewróciła oczami i wydała z siebie bliżej nie-określony dźwięk. Coś pomiędzy jękiem a prychnięciem. – Jest piątek – dodała, jakby to miało skłonić mnie do wyjścia.

– Nie mogę. Szykuje mi się wyjazd i muszę oswoić z tą myślą Stevena.

Susan zeskoczyła z biurka i pokręciła głową.

– Nudziara. Spadam do siebie. Jakbyś zmieniła zdanie...

– Dam znać – dokończyłam za nią.

Praca pochłoneła mnie tak bardzo, że zapomniałam nawet o lunchu. Późnym popołudniem Trent dostarczył mi wszystkie dokumenty dotyczące wyjazdu i preferencji klienta. Obiecałam, że zapoznam się z nimi jak najszybciej, ale gdy tylko wyszedł, wrzuciłam teczkę do szuflady. Było późno, a ja nie miałam już siły na pracę. Poza tym czekała mnie rozmowa ze Stevenem.

W domu panował półmrok. Na stole w jadalni dostrzegłam dwa nakrycia, ale nigdzie nie było mojego męża, więc od razu skierowałam się do gabinetu znajdującego się na końcu korytarza. Kiedyś to pomieszczenie było sypialnią dla gości, ale gdy Steven dostał pierwszy awans, a wraz z nim przybyło mu obowiązków, oboje zgodnie uznaliśmy, że przerobimy ten pokój na jego biuro.

Weszłam do środka i oparłam się o futrynę. Był tak pochłonięty wertowaniem dokumentów, że nawet mnie nie zauważył. Nie przeszkadzało mi to, lubiłam na niego patrzeć, gdy pracował. Był wtedy taki skupiony i zamyślony.

Mój mąż. Mężczyzna, z którym zaczęłam się spotykać, gdy oboje mieliśmy po siedemnaście lat. Człowiek, który okazał się moją miłością, siłą i przeznaczeniem. Do pełni szczęścia brakowało nam tylko jednego i miałam nadzieję, że to się wkrótce zmieni.

– Znow mi się przyglądasz? – mruknął rozbawiony, nie podnosząc na mnie wzroku. Wciąż skupiał się na porozrzuconych po całym biurku kartkach.

– Lubię na ciebie patrzeć. – Wzruszyłam ramionami.

Steven zdjął okulary i odłożył je na bok, a potem nieco sennym ruchem przetarł oczy i odchylił się w fotelu, przeciągając. Grymas bólu na jego twarzy świadczył o tym, że pracował od kilku godzin.

Byłam niemal pewna, że oprócz czasu na przyszykowanie dla nas jedzenia, nie zrobił sobie nawet krótkiej przerwy.

– Przygotowałeś kolację...

– Mhm. Jesteś głodna? – Ton jego głosu nadał nieco dwuznaczności pytaniu, więc nawinęłam na palec kosmyk włosów i zaczęłam się nim beztrudnie bawić. Uśmiech, jaki pojawił się na jego ustach, dał mi do zrozumienia, że chyba zaczniemy od deseru.

Podeszłam do niego niespiesznie. Powolnym ruchem sięgnęłam za plecy i rozsunęłam suwak spódnicy, a granatowy materiał po chwili znalazł się wokół moich stóp. Podobny los spotkał jedwabną koszulę.

– Szpilki zostaw – polecił niskim głosem, rozpinając swoje jeansy. Jego ruchy z każdą sekundą stawały się bardziej chaotyczne i niezgrabne.

Od trzech lat staraliśmy się o dziecko, a mimo to nadal rzucaliśmy się na siebie jak nastolatki. Bardzo się bałam, że nadejdzie moment, w którym popadniemy w rutynę, że gdy tylko kalendarzyk przypomni o owulacji, po prostu to zrobimy. Machinalnie i w nadziei, że tym razem się uda. Ale tak się nie stało. Starania o dziecko były istotne, ale my uwielbialiśmy bliskość i byliśmy w sobie zakochani tak, jak na początku znajomości.

Podeszłam jeszcze bliżej, oparłam się rękami o biurko, kusząco wypinając tyłek w jego stronę. Nadal miałam na sobie majtki i biustonosz, ale coś mi podpowiadało, że to podobało się Stevenowi bardziej, niż gdybym stanęła przed nim zupełnie naga. Dziś żadne z nas nie potrzebowało gry wstępnej. Wystarczyło jedno spojrzenie, byśmy byli gotowi.

Fotel lekko skrzypnął, a Steven stanął tuż za mną. Czując jego dużą dłoń sunącą po moim wypiętym pośladku, mocniej zacisnęłam palce na brzegu blatu. Dotykał mnie, jednocześnie składając pocałunki na moich plecach. Drugą dłonią zsunął swoje spodnie i bokserki, a potem zbliżył się na tyle, by móc się we mnie wślizgnąć.

– Steven! – krzyknęłam, czując lekki ból, który dosłownie po sekundzie zamienił się w coś obezwładniająco przyjemnego. Uwielbiałam moment, gdy wdzierał się do środka, sprawiając, że przestawałam myśleć racjonalnie, a zaczynałam jedynie czuć.

Mój mąż czytał ze mnie i z mojego ciała jak z otwartej książki. Wiedział, kiedy powinien przyspieszyć, a kiedy zwolnić. Kiedy potrzebowałam delikatności, a kiedy marzyłam, by zerznął mnie mocno i szybko.

– Co ty ze mną robisz... – wydyszałam, wypychając biodra w jego kierunku.

– Kocham cię – szepnął miękko, a po chwili wsunął rękę między moje nogi i dotarł wprost do łechtaczki.

– O mój Boże... – jęknęłam, gdy jego palce niespiesznie zaczęły rozsmarowywać po niej wilgoć. Seks z tym mężczyzną był cudowny. On był cudowny.

Powolne ruchy jego palców tak bardzo różniły się od głębokich, mocnych i szybkich pchnięć, dając kontrast, który desperacko prowadził mnie na sam szczyt. Chwilę później poczułam, jak drżą mi nogi, a wszystkie mięśnie spinają się w bolesnym oczekiwaniu.

– Kochanie... – sapnęłam.

Palce, które przed momentem pieściły moją cipkę, zawędrowały w zupełnie innym kierunku, a jeden z nich powoli, ale stanowczo zatopił się w mojej drugiej dziurce.

– Spokojnie... Właśnie tak, skarbie... – szepnął Steven. – Rozluźnij się.

Oboje lubiliśmy seks analny, ale gdy już się na niego zdecydowaliśmy, odpuszczaliśmy ten tradycyjny. Jednak to, co Steven robił teraz z moim ciałem, było doskonałe i sprawiało, że czułam ostre pulsowanie między nogami. Byłam na krawędzi, a przeciągły jęk mojego męża, jego głośnie i urywane oddechy oraz nagle ciepło wypełniające mój środek w jednej chwili pchnęły mnie w ramiona przyjemności. Ten orgazm trwał długo. Być

może za sprawą dodatkowej stymulacji. Nie wiem. To nie miało znaczenia. Liczyła się rozkosz i męczyzna, który mi ją dał.

Podniosłam się i przywarłam plecami do spoconego torsu Stevena, czując, jak krople jego potu osadzają się również na mojej skórze. W tym momencie zapach mojego męża mogłam określić jako najseksowniejszy, jaki w ogóle istniał. Mieszanina woni seksu, zmęczenia i wody kolońskiej. Coś wspaniałego.

– Uznajmy to za mały wstęp do późniejszej zabawy... – mruknął zrelaksowany.

To przypomniało mi, że musiałam powiedzieć mu o wyjeździe.

– Powinniśmy porozmawiać.

Westchnął i pocałował moją skroń.

– Dlaczego czuję, że nie spodoba mi się to, co usłyszę?

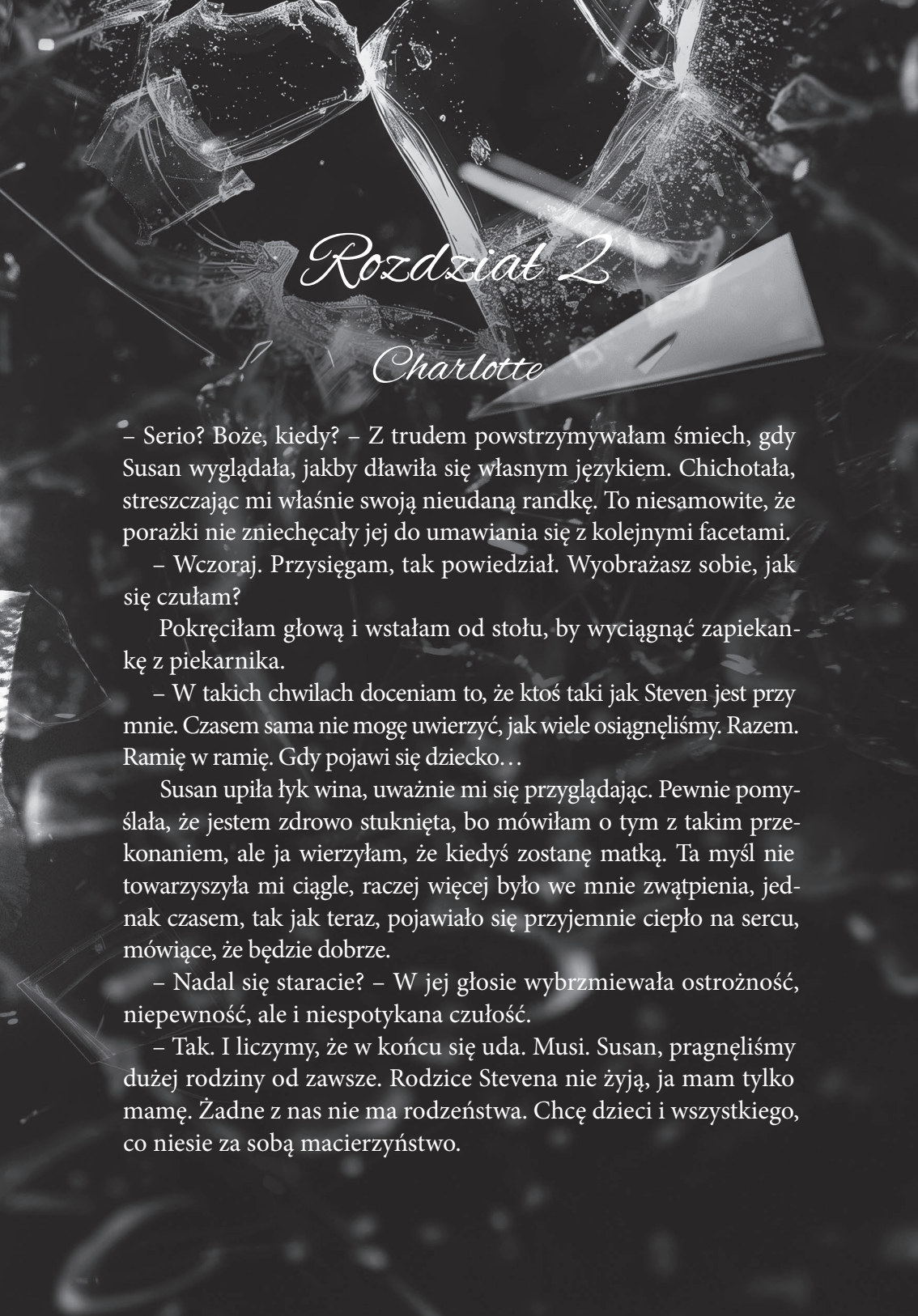
– Bo nie spodoba.

– W takim razie najpierw zjemy, a potem porozmawiamy.

– A jeszcze później?

– A jeszcze później będziemy się kochać.

– Brzmi jak dobry plan...



Rozdział 2

Charlotte

– Serio? Boże, kiedy? – Z trudem powstrzymywałam śmiech, gdy Susan wyglądała, jakby dławiła się własnym językiem. Chichotała, streszczając mi właśnie swoją nieudaną randkę. To niesamowite, że porażki nie zniechęcały jej do umawiania się z kolejnymi facetami.

– Wczoraj. Przysięgam, tak powiedział. Wyobrażasz sobie, jak się czułam?

Pokręciłam głową i wstałam od stołu, by wyciągnąć zapiekankę z piekarnika.

– W takich chwilach doceniam to, że ktoś taki jak Steven jest przy mnie. Czasem sama nie mogę uwierzyć, jak wiele osiągnęliśmy. Razem. Ramię w ramię. Gdy pojawi się dziecko...

Susan upiła łyk wina, uważnie mi się przyglądając. Pewnie pomyślała, że jestem zdrowo stuknięta, bo mówiłam o tym z takim przekonaniem, ale ja wierzyłam, że kiedyś zostanę matką. Ta myśl nie towarzyszyła mi ciągle, raczej więcej było we mnie zwątpienia, jednak czasem, tak jak teraz, pojawiała się przyjemnie ciepło na sercu, mówiące, że będzie dobrze.

– Nadal się staracie? – W jej głosie wybrzmiewała ostrożność, niepewność, ale i niespotykana czułość.

– Tak. I liczymy, że w końcu się uda. Musi. Susan, pragnęliśmy dużej rodziny od zawsze. Rodzice Stevena nie żyją, ja mam tylko mamę. Żadne z nas nie ma rodzeństwa. Chcę dzieci i wszystkiego, co niesie za sobą macierzyństwo.

Westchnęła i odstawiła kieliszek na stół. Wiedziałam, że czuje się niezręcznie, gdy tylko zaczynałam te smętne gadki o sporej rodzinie, zmienianiu pieluch i nieprzespanych nocach. Byłam niemal pewna, że nie rozumie tego, bo sama nigdy nie wspominała, że chciałaby mieć dziecko, ale mimo wszystko wspierała mnie na każdym kroku.

Susan tak właściwie miała tylko mnie. Jej ojciec zmarł kilka miesięcy temu, a matka, gdy ta była jeszcze mała. Niechętnie opowiadała o swojej rodzinie, a ja nie dopytywałam.

– Uda się... – Ścisnęła moją dłoń. – Wierzę, że Steven niebawem będzie rwał te swoje śliczne blond kędziorki z głowy, gdy maluch nie pozwoli mu się porządnie wyspać. A właśnie! – rzuciła wesoło. – Gdzie on się podziewa o tej godzinie?

– Ma mnóstwo pracy. Dostał kilka nowych zleceń i chce się pokazać z jak najlepszej strony. Wiesz, jak długo walczy o zostanie młodszym partnerem.

– Nie zrozum mnie źle, ale mieszkamy obok siebie i każdego dnia widzę pod waszym domem coraz później parkujący samochód...

Rozumiałam, co sugerowała. Że Steven stał się pracoholikiem. Nie uważałam tak, chociaż ostatnio rzeczywiście więcej czasu spędzał poza domem. Ale mój mąż był perfekcjonistą, a ja go za to podziwiałam.

– Dziecko wszystko zmieni. Zobaczysz. Jedźmy, bo wystygnie.

Spędziłyśmy dwie godziny na rozmowie. Susan wróciła do siebie tuż przed północą. Stevena nadal nie było, a gdy sprawdziłam telefon, miałam od niego lakoniczną wiadomość, że musi skończyć jakiś ważny projekt, a w domu za bardzo bym go rozpraszała.

Sprzątnęłam więc po kolacji, a resztę zapiekanki wstawiłam do piekarnika. Zgasiłam za sobą światła i poszłam na górę. Nie byłam senna, dlatego zamiast się położyć, napełniłam wannę wodą, dolewając ulubionego olejku. Momentalnie całe pomieszczenie wypełnił różany zapach. Zrzuciłam z siebie ubrania i po chwili

zanurzyłam się w ciepłej wodzie, a każdy mój mięsień zaczął się z końcu przyjemnie rozluźniać.

Samotne kąpiele stały się dla mnie momentem na rozmyślanie. Zazwyczaj o tym samym. Do niedawna tliły się we mnie złość i żal, że los poskąpił nam tego, czego innym nie szczędzi. W czym niby byliśmy gorsi, że nie mogliśmy cieszyć się domem, w którym od rana słyszać byłoby dziecięcy śmiech i tupot małych stóp? Komu zawiniliśmy?

Gdy jakiś czas później do moich uszu dotarł dźwięk gaszonego pod domem silnika samochodu, postanowiłam wyjść z wanny. Pospiesznie wytarłam się ręcznikiem, a potem owinęłam szlafrokiem i zeszłam na dół.

Zastałam Stevena siedzącego w salonie na kanapie. Obok niego na oparciu leżała niedbale rzucona marynarka, a jego teczka tkwiła między poduszkami. Zbliżyłam się i wtedy dostrzegłam, że w rękę trzyma szklankę. Rzadko pił, a jeśli mu się to zdarzało, był to znak, że coś poszło nie po jego myśli.

– Kochanie... – odezwałam się półszepem.

Sprawiał wrażenie, jakby mnie nie słyszał. Nawet nie drgnął. Zapatrzony przed siebie, co chwilę przystawiał do ust szkło. Stanęłam tuż za nim, dłonie kierując na jego spięte barki. Syknął z bólu, gdy palcami zaczęłam ugniatać twarde mięśnie.

– Padam ze zmęczenia – powiedział tak cicho, że ledwo go zrozumiałam. – Pojawiam się w biurze pierwszy, a wychodzę ostatni. Ciągłe ten stres...

– Jesteś najlepszy, twój szef o tym wie – zapewniłam go.

– Nie twierdź, że jest inaczej, ale... – Nagle wstał i podszedł do barku, gdzie dołał sobie alkoholu, a po chwili znów usiadł na kanapie. Chwycił moją dłoń i złożył na niej czuły pocałunek. – Mogłabyś jeszcze przez chwilę... – Wskazał na swój kark.

– To minie. – Wróciłam do masażu, tym razem mocniej uciśkając mięśnie. – Może, gdy wrócę z Nowego Jorku, pojedziemy gdzieś? Co ty na to? Rozmawialiśmy już o tym.

– W sumie to nie jest taki zły pomysł. Do tego czasu na pewno skończymy projekt tego biurowca. Chcę leżeć na plaży i pić drinki – oznajmił, śmiejąc się cicho.

– O nie, mój drogi! Żadnych drinków. Tego też lepiej odstaw.

– Jesteś terrorystką, wiesz? – Odchylił głowę i spojrzał na mnie.

– Kocham cię.

– Też cię kocham – odparł.

Wciąż masowałam jego plecy, a Steven w odpowiedzi mruczał od czasu do czasu z zadowoleniem i ulgą.

– Dlaczego nie możemy zostać rodzicami, Steven? Dlaczego? – To było silniejsze ode mnie, słowa niemal same uleciały z moich ust, choć przecież wiedziałam, że nie powie niczego, co by mnie uspokoiło. Musiałby skłamać.

– Chodź do mnie. – Poklepał dłonią miejsce obok siebie, a gdy je zajęłam, dodał: – Może to jeszcze nie jest ten czas?

– Zróbmy badania... – szepnęłam.

Spiał się. Za każdym razem, gdy wspominałam o testach na bezpłodność, ogarniała go dziwna panika.

– Rozmawialiśmy już o tym – mruknął pod nosem.

– I niczego nie postanowiliśmy. Chcę wiedzieć, Steven. Jest tyle innych opcji, jeśli...

Odsunął się ode mnie, a w jego oczach dostrzegłam złość.

– Nie. Nie zgadzam się na adopcję – powiedział stanowczo.

– Dlaczego?

– Bo... bo... nie wiem, czy... – Pochylił się, opierając łokcie na kolanach. – Nie wiem, czy umiałbym je pokochać, Char. Nie wiem.

Mogłam powiedzieć mu, że to niedorzeczne. Nawrzeszczęć na niego, wściec się, zrobić awanturę. Mogłam zrobić mnóstwo rzeczy, ale miałam świadomość, jak bardzo był tym wszystkim

przysłuchany. Wiele nocy przeplakałam po każdym wykonanym teście. I nie chodziło o to, że wynik znów okazywał się negatywny, ale o zawód na twarzy Stevena, co zawsze maskował wymuszonym uśmiechem i wyszeptanym w moje usta: „Następnym razem”.

– Zróbmy testy – poprosiłam ponownie. – Chcę wiedzieć.

Milczał, patrząc przed siebie, a ja doskonale rozumiałam, co właśnie działo się w jego głowie. Nie mogłam mu jednak pomóc, chciałam, by w końcu podjął słuszną decyzję. Sam.

– Dobrze, małeńka – odezwał się po chwili. – Niech będzie. Zróbmy te cholerne badania. A teraz chodźmy spać. Jestem wykończony.



Przy śniadaniu Steven był markotny i dziwnie zamyślony. Wiedziałam, że nawet jeśli spytałabym go, czy ma to związek z naszą wczorajszą rozmową, zaprzeczyłby, dlatego udawałam, że nie widzę, jak błądzi myślami gdzieś daleko.

– Dziś nadmienię szefowi, że po powrocie z Nowego Jorku wezmę kilka dni wolnego. – Od niechcenia grzebałam widelcem w sałatce, czując, że nie przełknę ani kęsa. – Musimy tylko postanowić, dokąd chcielibyśmy polecieć.

Westchnął, po czym spojrzał na mnie po raz pierwszy dzisiajszego poranka.

– Umówię nas do kliniki.

Zamarłam. Byłam przekonana, że będzie potrzebował czasu, by zebrać myśli, ułożyć je jakoś i dopiero wtedy wrócimy do tematu badań. Nie spodziewałam się, że z samego rana rzuci na mnie taką bombę.

– Nie patrz tak – sapnął. – Miałem kilka godzin na przemyślenia. Masz rację, Charlotte. Od początku miałaś, to ja byłem

ślepy na pewne sprawy. Te badania – skrzywił się – one są nam potrzebne. Nie możemy tak dłużej żyć.

– Och, Steven... – Zerwałam się z miejsca i niezgrabnie wgramoliłam mu na kolana. Chwyciłam w dłonie jego twarz. – Nie wiem, co powiedzieć...

Przepełniały mnie radość, smutek, wdzięczność, ale i strach.

– Że wszystko się ułoży – szepnął. – I pocałuj mnie. Teraz.

Otoczył mnie ramionami, przywierając wargami do moich. To było jak zdjęcie z ramion ogromnego ciężaru, chociaż zdawałam sobie sprawę, że to nie jedyny, jaki na nich dźwigam. Przed nami wiele stresujących momentów, ale najważniejsze, to ruszyć z miejsca.

– Muszę iść... – wymamrotał, odrywając się ode mnie. – Wieczorem zabieram cię na kolację.

– Wrócisz wcześniej? – zdziwiłam się.

– Właśnie tak.

– To mi się podoba – odparłam, a Steven zaśmiał się, chociaż nie tak jak zwykle. Tym razem maskował zdenerwowanie udawaną radością. I robił to dla mnie.

– Naprawdę muszę iść. Widzimy się wieczorem.

W pośpiechu wyszykowałam się do pracy. Kilka razy upewniam się, że w torebce mam wszystko, czego potrzebuję, wyszłam z domu i skierowałam prosto do garażu.

Przed moim gabinetem czekała już na mnie Su z dwoma kubkami kawy. Oczywiście, że dotarła do firmy wcześniej niż ja.

– Może powinnaś zostawać tu na noc? – zasugerowałam, powstrzymując śmiech. – I tak spędzasz tu więcej czasu niż w domu.

W odpowiedzi poruszyła zabawnie brwiami.

– Gdyby Charlie z piętra niżej też zostawał, możliwe, że wzięłabym to pod uwagę.

Podawała mi kawę, a ja przyjęłam ją z wdzięcznością, ponieważ rano zdołałam przełknąć zaledwie kilka łyków.

Oczywiście Susan nie byłaby sobą, gdyby nie wśliznęła się za mną do mojego gabinetu. Od zawsze wchodziła tutaj jak do siebie i za nic miała moje protesty, które swoją drogą wcale protestami nie były. Raczej stanowiły coś w rodzaju droczenia się.

Pozbyłam się płaszcza i usiadłam za biurkiem, a moja przyjaciółka jak zwykle usadowiła tyłek na jego krawędzi.

– Płakałaś? – Zmarszczyła nos i pochyliła się, żeby lepiej zobaczyć moją twarz.

– Daj spokój.

– Charlotte!

Z głośnym westchnieniem opadłam plecami na oparcie fotela i wzruszam ramionami.

– Steven zgodził się na testy.

Su rozchyliła usta, a za chwilę je zamknęła, jakby nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, by powiedzieć cokolwiek.

– To... chyba dobrze, prawda? Chciałaś tego.

– Tak, chciałam – przyznałam. – Tylko że teraz sama już nie wiem. Boję się. Co się stanie, jeśli naprawdę nie możemy mieć dzieci?

– Myślę, że nie tego się boisz, Charlotte... – powiedziała ostrożnie, a skoro milczałam, kontynuowała: – Myślę, że przeraża cię to, co się stanie, gdy bezpłodny okaże się Steven. Wolałabyś, żeby wina leżała po twojej stronie, bo zdajesz sobie sprawę, że zdołasz sobie z tym poradzić. On nie...

Ukryłam twarz w dłoniach, czując, że lada moment znów się rozkleję. Susan miała rację. W tym wszystkim nie chodziło o mnie, tylko o mojego męża.

– Hej... – Su chwyciła mnie za nadgarstki i odsunęła moje ręce. – Nie wiesz, jakie będą wyniki. Nie myśl o tym teraz. Okej?

– On nie bierze pod uwagę adopcji... – wyrzuciłam z siebie.

Twarz Susan stężała. Wiedziała, że ja zrobiłabym wszystko, by zostać matką, i decyzja Stevena cholernie mnie bolała.

– Charlotte...

– Wiem, wiem, co teraz powiesz, że świat nie kończy się na dzieciach, że ja i Steven mamy siebie. Ja to wiem, Susan. Wiem... Ale...

– Ale rozpaczliwie pragniesz dziecka – dokończyła za mnie, zupełnie jakby czytała mi w myślach.

Nie odpowiedziałam, bo ktoś nagle zapukał do drzwi. Pospiesznie wytarłam policzki i z niemą prośbą spojrzałam na Su. Poprawiła moje włosy i kiwnęła głową na znak, że jest w porządku i że może zobaczyć mnie ktoś oprócz niej.

Do środka niepewnie zajrzał Jonathan. Sądziłam, że wyjechał, gdy tylko przekazał Trentowi wszystkie informacje o sprawie tego ważnego klienta, ale najwidoczniej się pomyliłam.

– Mogę? – Zerknął na mnie, potem na moją przyjaciółkę.

– Proszę. Su, zobaczymy się później?

– Jasne. – Zeskoczyła z biurka, poprawiając spódnicę i posyłając brunetowi uroczy uśmiech, który, ku mojemu zaskoczeniu, natychmiast odwzajemnił. Przez ułamek sekundy wyglądał naprawdę przyjaźnie, zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia.

Gdy zostaliśmy sami, podszedł do mojego biurka, odchrząknął i poprawił krawat.

– Chciałem cię przeprosić. Wczoraj zachowałem się karygodnie.

– Nie byłeś zbyt miły, fakt – zauważyłam.

Westchnął.

– Przechodzę ciężki czas – wymamrotał. – I jeszcze ten klient. To dlatego Gousman mnie tu ściągnął. Nie chcę wdawać się w szczegóły, ale uznał, że powinienem przenieść się tu, do New Jersey.

– Rozumiem. – Tak naprawdę nie pojmowałam kompletnie niczego.

– Ten klient... nie masz się czego obawiać. Naprawdę. Jeśli chcesz, powiem ci kilka przydatnych kwestii z nim związanych.

Uśmiechnęłam się, czując ulgę, że może Marks wcale nie był takim fiutem, jak początkowo sądziłam.

– Usiądziesz?

Kiwnął głową.

– Może zaczniemy jeszcze raz. Mam na imię Jonathan. – Wyciągnął w moim kierunku dłoń, którą uścisnęłam.

– Charlotte – odparłam z lekkim uśmiechem. – W takim razie, Jonathanie, powiedz mi, czym załazł ci za skórę siedemdziesięciolatek?

Marks rozpiął guzik marynarki, usiadł naprzeciwko mnie i zaczął mówić.

Zadanie, które miałam do wykonania, okazało się prostsze, niż przypuszczałam. Jedynym, co powstrzymywało Jonathana przed realizacją tego tematu, był... jego penis. Ja takowego nie posiadałam, więc byłam górą. Przez niemal godzinę dyskutowaliśmy o tym, co można zrobić, by klient chciał kupić apartament za naszym pośrednictwem. Miałam już kilka pomysłów, ale te, które zaproponował Marks, też wydawały się całkiem sensowne.

Gdy mężczyzna był już przy drzwiach, zerknął na mnie przez ramię i odchrząknął.

– Ta kobieta, która tu była...

– Susan? – Uniosłam brwi.

– Pracuje tutaj?

Na moich ustach pojawił się uśmiech, chociaż starałam się go ukryć.

– Tak – odparłam. – Na końcu korytarza, ostatnie drzwi po lewej.

Poprawił krawat, chyba robił to odruchowo, gdy się denerwował, a potem skrzywił się, jakby żałował, że w ogóle spytał.

– Do widzenia, Charlotte – wymamrotał.

– Do widzenia, Jonathanie.



Gdy weszłam do domu, Steven zgodnie z obietnicą już na mnie czekał. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio był tutaj o tak wczesnej

porze i nie pracował w gabinecie. Zastałam go w kuchni, siedzącego przy stole, a woda kapiąca z jego włosów świadczyła o tym, że po powrocie zdążył nawet wziąć prysznic.

– Cześć. – Weszłam do środka. – To gdzie ma być ta kolacja?

– W Green Garden.

– Naprawdę? – spytałam podekscytowana. – Cudownie! Dawno tam nie byliśmy. Daj mi pół godzinki i będę gotowa.

Pognałam na górę, prosto do łazienki. Wzięłam szybki prysznic, poprawiłam makijaż, a włosy spięłam tuż nad karkiem. Czarną sukienkę zamieniłam na nieco swobodniejszy strój.

Steven czekał na mnie przy drzwiach.

– Wszystko w porządku?

– Ślicznie wyglądasz... – oznajmił spiętym głosem.

– Co się dzieje? Nie musimy wychodzić. Możemy zamówić coś do domu, obejrzeć film...

– Za dwa dni mamy wizytę w klinice. Wszystko już załatwiłem.

Cofnęłam się o krok i uważnie zlustrowałam jego twarz.

– Steven...

– Jest dobrze, kochanie – zapewnił, pogładził mój policzek i się uśmiechnął. – Jest dobrze. A teraz chodźmy. Ale deser zjemy w domu... – Pochylił się i złożył na moich ustach przelotny pocałunek. – Kocham cię – dodał po chwili.

Już chciałam odpowiedzieć, że też go kocham, ale w tej sytuacji wydało mi się to zbyt banalne.

– Ty jesteś najważniejszy, pamiętaj o tym...

Rozdział 3

Charlotte

Przez dwa dni unikaliśmy siebie nawzajem, udając, że wszystko jest w porządku. Rozumiałam strach Stevena przed badaniem. Podejrzewanie, że któreś z nas jest bezpłodne, a potwierdzenie tego – to dwie zupełnie inne sprawy. I choć starałam się myśleć pozytywnie, spychając w kąt obawy i niepewność, to gdzieś w głębi duszy jakaś maleńka cząstka mnie wiedziała, że nic już nam nie pomoże. Że wszystko przesądzone i wynik będzie jedynie przypieczętowaniem tego, czego oboje się boimy.

Niemal całą noc spędziłam na rozmyślaniu. Udając, że śpię, otulona ramionami męża, zadręczałam się myślą, co będzie, gdy przyjdzie nam pogodzić się z tym, że nigdy nie zostaniemy rodzicami.

– Dawno wstałaś? – Steven wszedł do kuchni, obrzucając mnie uważnym spojrzeniem. W jego oczach dostrzegłam to, czego się spodziewałam. Niepewność.

– Godzinę temu. Chcesz kawy?

– Niekoniecznie. Powinienem wziąć prysznic, niedługo musimy być w klinice.

Przytaknęłam i wstawiłam filiżankę do zmywarki. W tym czasie on zdążył ulotnić się po cichu, a po kilku minutach usłyszałam szum lejącej się wody w łazience na górze. Marzyłam, by mieć tę wizytę już za sobą.

W drodze do kliniki nie udało nam się ominąć korków. Dom na obrzeżach miasta miał wiele plusów, ale dotarcie do pracy na czas często granoczyło z cudem. Decydując się na zamieszkanie na przedmieściach, kierowaliśmy się przede wszystkim dobrem dzieci. W tej kwestii byliśmy zgodni i od samego początku wiedzieliśmy, że potrzebujemy dużego domu w spokojnej okolicy, z dostępem do ogrodu i szkołą w dogodnej lokalizacji.

– Wszystko w porządku? – Steven przerwał panującą między nami ciszę. – Jeśli się rozmyślaś... – urwał, zaciskając nerwowo palce na kierownicy. Jego strach był niemal namacalny.

– Nie. Po prostu nie mogę przestać o tym myśleć. Co zrobimy, jeśli się okaże, że...

– Że nie możemy mieć dzieci? – Zerknął na mnie przelotnie. – Nic, Charlotte. Absolutnie nic. Uważam, że powinniśmy odpuścić. Wyjechać gdzieś, odpocząć. A potem żyć normalnie, ciesząc się, że mamy siebie.

– A leczenie? Co z leczeniem? Słyszałam o tym i wiem, że w niektórych przypadkach może okazać się skuteczne. Mam świadomość, że to wcale nie musi...

– Nie, skarbie – przerwał mi spokojnie. – Przykro mi. Uważam, że jeśli się dowiemy, że któreś z nas jest bezpłodne, powinniśmy ruszyć dalej. I nie oglądać się za siebie.

Poczułam, jak żółć podchodzi mi do gardła. Ja rozważałam milion innych możliwości, a on? Zamierzał się poddać. Tak po prostu. Odpuścić i nie walczyć już dłużej? Mogłam zrozumieć niechęć do adopcji, to ogromne wyzwanie i nie każdy jest na nie gotowy, ale leczenie? Choćby jedna mała próbka?

– Nic nie powiesz? – Włączył kierunkowskaz, a potem skręcił w prawo i zaparkował na jednym z kilku wolnych miejsc przed kliniką.

– Nie. Nie wiem co... – przyznałam szczerze. – Chyba czuję... rozczarowanie?

Silnik ucichł, a Steven odpiął najpierw swój pas, a następnie mój. Usiadł bokiem, lustrując moją twarz. Był przy tym tak poważny i skupiony, że ze zdenerwowania miałam mdłości.

– Pamiętasz, co sobie obiecaliśmy podczas podróży poślubnej? – Jego głos wyrażał łagodność i miłość. Chwycił moją dłoń, czule pogładził ją palcami, a ja nawet nie mogłam zmusić się, by na niego spojrzeć.

– Że będziemy najszczęśliwszym małżeństwem pod słońcem. Zawsze. Niezależnie od tego, co ześle nam los – dodał, gdy moje milczenie się przeciągało.

Pamiętałam... Pamiętałam każde słowo tej obietnicy wypowiedzianej o zachodzie słońca na plaży Cable Beach.

– Chciałbym dotrzymać słowa, Charlotte – powiedział poważnie. – Obiecałem wtedy, że cię ochronię przed światem. I zamierzam to zrobić. Jeśli świat odbierze nam możliwość zostania rodzicami, nie sprzeciwiamy się mu. Żyjmy. Kochajmy się. Bo zniszczymy wszystko to, co piękne między nami. Siebie też zniszczymy, bo zamiast czerpać od losu garściami, rzucimy się w wir ciągłych kłótni, oczekiwań, porażek. Wiesz, że mam rację. Kocham cię i chcę, żebyśmy byli szczęśliwi. Nic więcej.

To, co mówił, miało sens. Rozumiałam, że ma rację, ale wizja rezygnacji przerażała mnie równie mocno, jak ciągłe niepowodzenia. Czułabym się wtedy, jakbym zrezygnowała z maratonu tuż przed metą. Nie byłam w stanie niczego powiedzieć, a przynajmniej niczego, co by go zadowoliło, więc kiwnęłam tylko głową i pospiesznie wysiadłam z auta. Zaczekałam, aż Steven do mnie dołączy, i razem ruszyliśmy w kierunku głównego wejścia.

Obrotowe drzwi poruszały się powoli, jednych wypuszczając, innych zapraszając do środka. Ogromny hol przywitał nas zapachem zupełnie niepodobnym do tego, który wyczuwało się zazwyczaj w szpitalach. Steven zerknął na mnie i uśmiechnął się

pokrzepiająco. Tylko że nic nie było w stanie dodać mi teraz otuchy. Odwzajemniłam się jednak tym samym.

Przy wysokim kontuarze stała starsza kobieta w granatowym uniformie. Trochę przypominała mi moją mamę. Momentalnie poczułam bolesny uścisk w żołądku, bo ona nie miała pojęcia, z czym się zmagamy. Nie powiedziałam jej, nie umiałam.

– Witam państwa. W czym mogę pomóc?

– Jesteśmy umówieni z doktorem Hopkinsem – odezwał się Steven.

– Państwa nazwisko?

– Anderson. – Chrząknął. – Charlotte i Steven Andersonowie.

Recepcjonistka przez dłuższą chwilę sprawdzała coś na monitorze komputera, aż w końcu podniosła na nas wzrok.

– Trzecie piętro, gabinet numer sto dwa. Doktor już na państwa czeka – powiedziała uprzejmie.

– Dziękujemy – wymamrotał mój mąż.

Byłam tak skołowana, że zwykle „dziękuję” nie mogło przejść przez moje usta. Zatrzymało się gdzieś w gardle i tkwiło tam przez cały czas. Zapewne dotarcie do właściwego pokoju również byłoby ponad moje siły, gdyby nie Steven. Wziął mnie za rękę i poprowadził w kierunku windy.

– Przestań – mruknął poirytowany. – Wiem, o czym myślisz.

– Ja po prostu się boję – wyznałam.

– Ja też, ale nie chcę już tak żyć. W ciągłym oczekiwaniu. Pragnę w końcu odetchnąć pełną piersią.

Przytaknęłam. Jakaś część mnie go rozumiała, a nawet się z nim zgadzała, ale mimo wszystko bardzo chciałam usłyszeć, że się nie poddamy i że zrobimy, co w naszej mocy, by stworzyć rodzinę, o jakiej zawsze marzyliśmy.

Windą wjechaliśmy na trzecie piętro. Na korytarzu były jedynie dwie pary pogrążone w rozmowie. Steven znów przejął inicjatywę, widząc, że ja z trudem trzymam się na nogach. Zapukał do drzwi

oznaczonych numerem sto dwa, a gdy usłyszeliśmy „proszę”, niepewnie weszliśmy do środka.

Pomieszczenie ani trochę nie przypominało gabinetu lekarskiego, raczej zwykły pokój. Naprzeciwko wejścia znajdowało się ogromne okno z widokiem na centrum miasta, na samym środku stało duże szklane biurko, a na nim równo poustawiane ramki ze zdjęciami.

– Państwo Andersonowie? – Mężczyzna w średnim wieku wstał i podszedł do nas. – Jestem Paul Hopkins i będę waszym przewodnikiem. – Wyciągnął dłoń w moim kierunku, a ja po chwili wahania ją ucisnęłam. Następnie przywitał się ze Stevenem.

Musieliśmy wyglądać jak dwójka przestraszonych dzieciaków, o czym świadczyła jego dziwna mina. Przez chwilę uważnie i bez żadnego skrępowania przyglądał się nam, aż w końcu poprosił, byśmy usiedli na kanapie znajdującej się po lewej stronie.

– Och... – wyrwało mi się, gdy dostrzegłam gustownie zaaranżowany kącik. Oprócz eleganckiej sofy były tam też stolik i fotel. Nawet jeśli doktora Hopkinsa zdziwiła moja reakcja, grał po mistrzowsku, nie dając po sobie tego poznać.

Znów poczułam delikatne szarpnięcie, kiedy Steven ostrożnie pociągnął mnie w stronę kanapy. Byłam jak szmaciana lalka niezdolna do samodzielnego funkcjonowania.

Usiedliśmy, a doktor zajął miejsce w fotelu, przysuwając go na tyle blisko, że niemal stykaliśmy się kolanami. Normalnie w takich sytuacjach czułam dyskomfort wywołany nieoczekiwaną bliskością ze strony kogoś obcego, ale ku mojemu zdziwieniu tym razem nic takiego nie miało miejsca. Medyk emanował dobrą energią. Biło od niego ciepło, a w oczach czaiło się zrozumienie, jakby doskonale wiedział, z jakimi emocjami borykają się ludzie przekraczający próg jego gabinetu.

– Nie tego się spodziewaliście, prawda? – spytał, gdy żadne z nas nie znalazło w sobie odwagi, by się odezwać.

Wymieniliśmy ze Stevenem znaczące spojrzenia. Mogłabym przysiąc, że marzył o tym, by wrócić już do domu.

– Nie, zdecydowanie nie... – odparłam cicho.

– Co cię zaskoczyło, moja droga?

– Cóż... Byłam przekonana, że to będzie szpital, a... – urwałam, nie bardzo wiedząc, jak ubrać w słowa moje myśli.

– Tak? – Uśmiechnął się.

– Kojarzy mi się to z pokojem.

– I o to właśnie chodzi. Tu przychodzą ludzie oczekujący pomocy. Nie powinni się stresować, a wszystko, co kojarzy się ze szpitalem, przypisują o gęsią skórę. – Omiótł gabinet spojrzeniem. – To moje dzieło. Sam to stworzyłem. – Wrócił wzrokiem do mnie. – Czy wszystko w porządku? – spytał, marszcząc brwi.

– Tak – odpowiedzieliśmy ze Stevenem jednocześnie, a chwilę potem wybuchliśmy nerwowym śmiechem.

– Doskonale. W takim razie proszę powiedzieć, z czym państwo do mnie przychodzą.

– Yyy... my...

– Wiem, o czym pani pomyślała. Ale moje pytanie jest jak najbardziej poważne. Każdy przypadek jest inny, a tylko w taki sposób mogę się dowiedzieć, jak wam pomóc.

– Od trzech lat bezskutecznie staramy się o dziecko – odezwał się mój mąż.

Doskonale wiedziałam, ile kosztowało go wypowiedzenie tych słów. Mówił z lekkim wahaniem, może nawet wstydem. Kiedyś przyznał się, że jako mężczyźnie, ciężko jest mu żyć ze świadomością takiej klęski.

Ścisnęłam jego dłoń, żeby dodać mu otuchy. Doktorowi nie umknęło nawet to, bo na moment jego wzrok wylądował na naszych splecionych palcach, a na ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Uprawiamy seks w różnych fazach cyklu. Nie tylko podczas dni płodnych – wtrąciłam. – Boję się, że lada moment to stanie się przykrym obowiązkiem, a nie przyjemnością, że będę sprawdzała kalendarz i całkowicie zatracę się w tym wszystkim. – Modliłam się w duchu, by się nie rozpląkać. To było trudne, ale chciałam opowiedzieć o swoich odczuciach, a nie rzucać medycznymi terminami, jakby w grę nie wchodziło nowe życie. Życie naszego dziecka. – Marzę, by zająć w ciąży bez ciągłego kontrolowania się, dat, godzin...

Dłoń Stevena niespiesznie sunęła po moich plecach, zataczając kręgi.

– Chcemy wiedzieć, doktorze – powiedział stanowczo. – Tylko tyle.

Paul Hopkins przez chwilę obserwował nas uważnie, a potem wstał i podszedł do ogromnej szafy, z której wyciągnął teczkę. Gestem zaprosił nas na krzesła znajdujące się przy jego biurku, a sam zajął miejsce w skórzanym fotelu.

– Jak to będzie wyglądało? To... badanie – spytał Steven.

Miałam ochotę go przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Całą sobą czułam, że tego było mu trzeba. Znałam męża na tyle, by wiedzieć, jak bardzo się denerwował.

Lekarz wyjaśnił, co czeka nas w najbliższym czasie, a ja poczułam wstyd pełzający po kręgosłupie, bo nie dość dobrze sprawdziłam wszelkie informacje na ten temat. Prawda była taka, że to strach mnie przed tym powstrzymywał. Od szukania wiedzy w Internecie wołałam spotkanie ze specjalistą, który krok po kroku przeprowadzi nas przez to piekło.

– Podoba mi się wasz brak wiedzy – stwierdził nagle doktor. – Za każdym razem, gdy przede mną siedzi jakaś para, zarzucając mnie bzdurami, które ludzie wypisują w sieci, mam ochotę nimi potrząsnąć. – Pokręcił głową. – Dobrze, a teraz omówimy sobie szczegóły... – Odchrząknął i powoli otworzył teczkę.

Przez kolejną godzinę tłumaczył nam, na czym będzie polegało badanie, czego musimy się wystrzegać na kilka dni przed i jak

dokładnie mamy się do niego przygotować. Sporo podpunktów dotyczyło Stevena, więc to naturalne, że głównie to on zadawał pytania, na które doktor Hopkins cierpliwie odpowiadał.

– Nie sądziłem, że jest tego aż tyle... – stwierdził mój mąż, wpatrując się w kartkę, na której spisane były szczegółowe wytyczne.

– Najważniejsze jest badanie nasienia. Ocenimy jego lepkość, kwasowość. Musimy sprawdzić objętość ejakulatu, liczbę plemników, a także ich ruchliwość. Oczywiście wykonamy też badania hormonalne. To na początek.

– Rozumiem – wydukał Steven.

– Jeśli chodzi o panią – Hopkins tym razem zwrócił się do mnie – zrobimy podstawowe badania krwi i badanie ultrasonograficzne. Ocenimy drożność jajników, musi wykonać pani testy owulacyjne. No i badania hormonalne – wyjaśnił. – Myślę, że powinni państwo odpocząć. Temat płodności jest trudny i wymaga wiele cierpliwości. Nie zadręczajcie się, istnieje wiele metod leczenia bezpłodności...

Steven, słysząc sugestię lekarza, gwałtownie wstał z krzesła.

– Dziękujemy, doktorze – powiedział. – Myślę, że wiemy już wszystko. Charlotte – spojrzał na mnie z góry – idziemy?

Dopiero po chwili otrząsnęłam się i energicznie pokiwałam głową, również wstając.

–Dziękujemy. Był pan niezwykle cierpliwy i dokładny. Bardzo to doceniamy – dodałam uprzejmie.

– Do zobaczenia.

– Do widzenia.

Drogę do windy pokonaliśmy w absolutnej ciszy. Czułam złość. Nie dlatego, że Steven zareagował tak impulsywnie, ale przez to, że nawet nie brał pod uwagę leczenia.

– Dlaczego? – spytałam, gdy weszliśmy do środka.

– Po prostu sądzę, że nic dobrego by z tego nie wyszło.

– Ale...

– Charlotte – westchnął z rezygnacją. – Wiem, jak by to wyglądało. Bylibyśmy zestresowani i ciągle wściekli. Zrujnowalibyśmy nasze małżeństwo, tego właśnie chcesz?

To pytanie zawisło między nami. Nie odpowiedziałam, mimo że miałam ochotę wrzeszczeć na całe gardło, że nie ma racji i że jest najbardziej samolubnym człowiekiem na świecie, ale... przecież miał rację. Gdzieś w głębi duszy pojmowałam, że Steven chce nas jedynie uchronić przed jeszcze większym cierpieniem. Nie każde leczenie oznacza sukces.

Na zewnątrz uderzył we mnie chłód. Odruchowo szczerzej otuliłam się szalem i czym prędzej wślizgnęłam do samochodu, gdy tylko Steven otworzył przede mną drzwi. Sam jednak nie wyglądał, jakby mu się spieszyło. Powoli obszedł auto i jeszcze przez chwilę wpatrywał się w budynek kliniki w zamyśleniu. W końcu usiadł na fotelu, ale ku mojemu zaskoczeniu nie odpalił silnika. Zaciśnął za to dłonie na kierownicy i oparł o nią czoło, wydając z siebie długie, udręczone westchnienie.

– Wszystko w porządku, kochanie? – Ostrożnie dotknęłam jego ramienia.

– Przepraszam – wymamrotał, prostując się. Chwycił palcami nasadę nosa i przez chwilę trwał w takim dziwnym zawieszeniu.

– Skarbie...

– Jestem tym wszystkim zmęczony – rzucił niespodziewanie. – Udaję, że każda porażka nie robi na mnie wrażenia, ale tak naprawdę czuję, jakbym był do niczego. Nie potrafię... dać ci dziecka.

Coś ścisnęło mnie w żołądku.

– Jak możesz tak mówić? Steven... – Usiadłam bokiem i chwyciłam go za rękę. – Nie wiemy, które z nas jest bezpłodne. Co ja wygaduję?! Nie wiemy nawet, czy rzeczywiście tak jest. Chryste... to ja przepraszam. Tak bardzo pragnę tego dziecka, że nawet nie zastanowiłam się, jak ty się z tym czujesz.

– Kocham cię. – Spojrzał na mnie ze smutkiem. – Nie chcę, żebyśmy to zniszczyli, uparcie trzymając się tego pragnienia. Chcę dziecka tak samo, jak ty, ale boję się, że to może nas roztrzaskać, jeśli nie będziemy umieli odpuścić w odpowiednim czasie.

Mój rozum się z nim zgadzał, ale serce krwawiło. Tylko że może miał rację, może to pragnienie zaczęło nami rządzić? Wyznaczać ścieżki, którymi podążaliśmy?

– Chcę jechać do domu.

– Tak, jedźmy do domu – zgodził się i odpalił silnik.

Byłam wykończona. W mojej głowie działo się zbyt wiele, bym mogła to poukładać, zanim znów pojawimy się w klinice.

Gdy dotarliśmy na miejsce, Steven od razu zaszył się w gabinecie, a ja postanowiłam wziąć gorącą kąpiel. Nappełniłam wannę wodą, w międzyczasie zrzucając z siebie ubrania i tworząc listę utworów na Spotify, by nie tkwić w przerażającej ciszy, inaczej moje myśli znów krążyłyby wokół dziecka. Pierwsze dźwięki pozwoliły mi się rozluźnić i odzyskać względny spokój. Był chwilowy, jasne, że o tym wiedziałam, ale to musiało mi w tym momencie wystarczyć.